



Jerzy Prokopek

część I z II

Sygnatura notacji: **N1247**

Data urodzenia: **08.09.1934 r.**

Data nagrania: **17.04.2018 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 78 min, część II: 46 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Tomasz Sikorski: Pan będzie uprzejmy opowiedzieć o sobie, jak się pan nazywa, gdzie i kiedy pan się urodził. Jak się nazywali i czym się zajmowali rodzice, o rodzeństwie, o dzieciństwie i potem o okresie wojny, okupacji i o tym, co pan pamięta, co pan chciał nam przekazać.

Jerzy Pokropek: Dobrze. Proszę pana, nazywam się Jerzy Pokropek, urodziłem się w 1934, 8 września, w Warszawie. Na ulicy Radzymińskiej zamieszkiwaliśmy. Ojciec mój był Stefan Pokropek, był z zawodu rzeźbiarzem kamiennym. Robił nagrobki, robił figury takie, pracował w takiej firmie na Powązkach, znanej firmie, już nie pamiętam tego nazwiska, ale zapomniałem. W każdym bądź razie wystarczająco dosyć zarabiał, nieźle, stać go było utrzymać rodzinę czteroosobową, bo miałem dwie siostry, starsza jedna była, Irena, pięć lat ode mnie, Barbara siedem lat. Matka Eleonora, z panińskiego nazwiska Stabacińska, również z Warszawy. Mieszkała na Powiślu, z zawodu była bieliźniarka, ale mało wykonywała tego zawodu, bo nie miała czasu, bo troje dzieci, a ojciec w miarę możliwie zarabiał, tak że wystarczało. Nie żyło się w luksusach, ale dosyć przyzwoicie. Mieszkaliśmy w domu takim na Radzymińskiej, tam to był taki długi drewniak piętrowy, mieszkało kilkanaście rodzin. Jak zaczęły się, jak wybuchła wojna w trzydziestym dziewiątym roku, to zaczęły się naloty na Warszawę i jeden z pierwszych nalotów zrzuconych, bombę zapalającą, trafiła w nasz dom. My w tym czasie byliśmy w okopie, bo żeśmy chowali się, bo ojciec należał do OPL-eku. Zorganizował taką grupę ludzi, którzy pomagali i wykopali te okopy, przejścia między podwórkami w parkanach tak, żeby w razie czego uciekać, jak będzie, było zagrożenie w jednym miejscu, zmieniać położenie. No i o ratowaniu tego domu nie było mowy, bo nie było czym. Woda, była pompa taka ssąco-łoczująca, taka jak to były na podwórkach, kiedyś to nie było możliwości, żeby tę wodę można było dostarczyć i ugasić. Tak że wszyst-

ko poszło z dymem, tak, jak żeśmy stali w tym okopie, tak żeśmy zostali pod gołym niebem. No i po przerwie w nalotach, matki siostra mieszkała na Kruczej i nas wzięła, przygarnęła do domu, chociaż też nie miała dużego mieszkania, bo tam duży jeden pokój i kuchnia. I mieszkała z mężem i z teściową chyba, matką tego. A ten mąż się nazywał Łomczyński Czesław, był kolarzem też torowym, na Dynasach się ścigał. Bardzo wykształcony facet. Był z zawodu księgarzem, znał parę języków. Takim pedantem dosyć był no, ale nie mogliśmy tam za długo przebywać, bo tam nie było warunków też, ciasno. Naloty to w piwnicy, do piwnic ludzie uciekali. Brak było żywności, brak było wody, ale ojciec z tym szwagrem właśnie na miasto wychodzili, to leżały konie pozabijane, ludzie obrzynali mięso z tych koni tego, żeby coś jeść, bo była bieda straszna. No ale jakoś tam się przeżyło. Niemcy z samolotu zrzucali cukierki nawet, zatrute jakieś takie, już nie pamiętam, jak one wyglądały. To w papierkach normalnie jak cukierki, ale zatrute było, no ostrzegał jeszcze ten prezydent Warszawy w komunikatach jak: „Uwaga! Uwaga! Alarm lotniczy dla miasta Warszawy”, że zbliżają się samoloty, że będzie bombardowanie. I ostrzegał, żeby dzieci pilnować, żeby dzieci nie podnosiły tych cukierków, tych zrzutów, co Niemcy zrzucali, bo to są trujące. No i po... uspokoiło się trochę z tym bombardowaniem, już byli blisko, pod gdzieś tam, pod Sochaczewem, chyba już armia była niemiecka. A drugi wujek, drugiej siostry mojej matki, mieszkali na 11 listopada, tu przy koszarach i był w tym czasie w wojsku. Nie wiem, czy to zmobilizowany był, czy normalnie służył w wojsku. No i miał za zadanie, jeździł samochodem chevroletem ciężarowym i miał z magazynów przewieźć na front, na pierwszą linię frontu, żywność. To były szynki takie konserwowe, pamiętam, kawa w kostkach z cukrem taka, też się na sucho jadło, suchary, no i tam papierosy chyba jeszcze, no tam były różne konserwy, no i ojciec przyjechał tam do nas i mówi, że jedzie. A ojciec mówi: „Słuchaj, nie jedź, bo tam już Niemcy są – mówi – to co, im zawieziesz ten prowiant?”. A on mówi: „Wiesz, ale rozkaz dostałem tego”. No to mówi: „Jak chcesz, to ja z tobą pojedę”. No i wsiedli w ten samochód, jechali już, tam na Woli, tam przed... na przedpolach Woli i już patrzeć, szło trzech Niemców, patrol taki. Oni podjechali, stanęli i ten wujek tam miał karabin, w kabinie tam leżał, to wyszedł po wojskowemu, to Niemcy ręce do góry podnieśli, wystraszyli się, bo tacy byli. No ojciec złapał ten karabin, ale widzi, że oni ręce w górę mają, to zostawił go i doszli do nich, i tam zaczął się pytać, co oni tam, a że tam wachta, że tam zaczęli. To wziął te karabiny, pozbierał, jakiś tam mur był czy coś, te karabiny wyrzucił za ten mur i kazał uciekać im: Raus, tego. I oni zaczęli uciekać, wrócili, i on mówi: „Widzisz, dawaj, zwracaj to – mówi – tam ludzi głodnych jest tyle – mówi – to tę żywność rozdamy”. No i przyjechali na tę Kruczą i wie pan, ludzi tam kolejka się zaraz zrobiła, to chleb, te suchary co było trochę tam, że mało dla nas zostało. Ale podzielił to i ojciec, ten szwagier pojechał na 11 listopada, ten samochód zostawił i koniec działalności jego. To by było na tyle do trzydziestego dziewiątego roku, do tych nalotów. No i po... jak się Warszawa poddała, to ojciec mówi: „Trzeba – mówi – gdzieś jakiegoś mieszkania...”. A podobno przed wojną jeszcze, tam na Waszyngtona właśnie, szukał mieszkania, bo w tym drewniaku nie bardzo tam było warunki, nie tego. No to znalazł tam domek, był taki przy Wiatracznej parterowy, jeszcze niewykończony całkowicie, bo ten właściciel miał piętrowy nadbudować, dwa piętra czy jedno piętro, ale spodziewał się właśnie, że to już się szykuje wojna tego, to wziął, zadasył ten dom, takim dwuspadowym dachem, papą pokryty, no i było dwa pokoje z kuchnią od ulicy i tyle od podwórka. No to tam mieszkało dwie rodziny, ojciec nawet te dwa, trzy mieszkania właśnie tam kupił czy... już nie pamiętam tam. Jak się uspokoiło już w Warszawie, już koniec nalotów, tak że ojciec ciągnął nas na Waszyngtona, do tego domu, co przed wojną tam już coś nagrywał z tym właścicielem czy tam nie wiem z kim, kto tam zarządzał. I szliśmy przez ten, przez, pieszo oczywiście przez Aleje do mostu Poniatowskiego. No i wacha już była. Nie chcieli bardzo puszczać tego, ale jakoś tam ojciec urobił ich, przepuścili nas. Bo to jeszcze w Warszawie Niemcy byli, ale tam już Praga, tam dalej to wie

pan, to jeszcze Niemcy tam nie doszli, bo to tak trochę się obawiali, bo przecież z tamtej strony to z wiatrem leciało, wie pan, groza dla nich. No, ale żeśmy przeszli tam no i jakoś się żeśmy urządzili. Dziura była w jednej tam ścianie, ale tam ojciec kolegę jakiegoś murarza, tam tego, zakleili tę dziurę tego, no i żeśmy mieszkali. No i od tamtej pory się zaczęło całkiem przyzwoicie, dobrze żyć. Ojciec tam, nie wiem skąd wyniuchali szwabę, że fachowców potrzebowali do różnych tam, no i że ojciec jest takim sztukatorem jak oni tam w marmurze, tego. Były jakieś tam usterki w tym, na, w Belwederze, tam podczas działań wojennych, no i potrzeba było, żeby tam trochę poreperować, to tego, no i z Arbeitsamtu przyszli właśnie i ojca tam zaciągnęli, i no, żeby robił. No, ale dostał Ausweis taki, tak że glejt taki, że już bezpieczniej mógł się poruszać po Warszawie, no i to dużo dało dobrego. Bo nie wiem, czy tam coś dostawał, jakieś pieniądze, czy nie, tego nie wiem, bo to tam nie obchodziło mnie specjalnie, ale było tak, że były czasy, już później zaczęły się łapanki, to wtedy już taki glejt jak miał, pokazał, że pracuje, no to już zawsze go zwolnili. No i od czterdziestego chyba roku to już ojciec nawiązał, już jak AK powstało od czterdziestego drugiego, to zaczął... nawiązał właśnie z Żydami coś tam i nie wiem, w jaki sposób ten kontakt się zrobił, w każdym bądź razie miał on styczność wcześniej, bo te kawały takie opowiadał żydowskie, wszystko, to nie wiem skąd on to miał takich. Ale bądź co bądź jakoś tam współpraca się nawiązała, bo zaczęli... mieli przyszykować, bo już getto powstało wtedy i w getcie chcieli. Zawsze ojciec mówił: „Nie idźcie jak barany na rozstrzał, bądźcie – mówi – odważniejsi trochę. Chociaż rzucić się, oczy wydrapać takiemu szwabowi czy coś. A nie, stajecie i pod murem i wałą w was seriami, idziecie na śmierć, na rzeź jak barany”. No i tam część takich odważnych się znalazła, że trzeba organizować się i w tym getcie zaczęli organizować takie grupy bojowe, no i ojciec tam zaczął z nimi współpracować, to broń, pamiętam, to z ojcem parę razy też jeździłem, to miałem jakieś tam plany, gdzieś z trzydziestego dziewiątego roku, co wojsko to mobilizowali się, to byli tacy, co zakopywali broń, chowali gdzieś, bo czuli, że może się przydać kiedyś. I takie właśnie momenty ojciec tam wynajdywał, no nie wiem, czy płacił za to, na pewno, bo tak samo i tym też darmo nie dawał chyba. W każdym razie, że raz żeśmy byli, to było na Ratuszowej, jak ZOO i kościół tam taki stary był, drewniany jeszcze i mur taki był. I za tym murem już to było na terenie tego ZOO, tego ogrodu, tam miejsce miał, plan gdzieś, przy jakimś drzewie tam ileś metrów od tego muru, no i z saperką, z plecakiem żeśmy pojechali. Zawsze ojciec jeździł na rowerze damka, matki rower taki, uratował się sprzed wojny, z tyłu bagażnik taki, ja na nim jeździłem zawsze z ojcem. Tak wszędzie, gdzie coś załatwiać, to zawsze razem żeśmy byli takie kumple. I ja tam leżałem na tym murze wzdłuż tak, na czatach byłem, a ojciec tam przeskoczył i tam kopał, patrzę, że znalazł coś. Tam była broń jakaś krótka czy coś, wie pan, owinięta, wtedy nie było tych, pergaminu, to był, ale tę, ale takich tych toreb nylonowych jak teraz nie było. To było owinięte w takie jutowe worki, towotem nasmarowane czy coś. Pistolet czy coś, czy jakiś obwinięty to było później w gazety i dopiero to w plecach i w domu, ja z ojcem to już żeśmy to czyścili, obmyli i, wie pan, nasmarowało się wtedy olejówką, a ten towot trzeba było to zdrapać. I tak parę razy, to dwa razy chyba byłem, na takich tego, pierwszego razu to nie pamiętam, gdzie to było, bo to tylko wtedy co żeśmy wracali, to już było dosyć późnawo, już była godzina policyjna. I wtedy wracaliśmy na rowerze, tam w plecaku miał ojciec coś, a zawsze ze sobą woził, też miał walthera, to zawsze nosił za paskiem i ja na rowerze siedziałem, w razie czego jak zatrzymywali nas, łapanka czy coś, to ja wyciągałem ojcu zza tego i sobie za pasek wsadzałem w bluzę. I wtedy właśnie jeździemy Waszyngtona, to już się robiło tak troszkę, ja wiem, szarawo, czy o ósmej była godzina policyjna. I na rogu Międzynarodowej i cały ten okres aż do Żymirskiego ulicy, bo to Żymirskiego się nazywała kiedyś, to były działki. Nie działki, tylko pole, kapusta rosła tam, dalej taki jak PGR był przy lotnisku, nie wiem, czy pan pamięta, lotnisko takie było szybowcowe i sanitarne. To tam całe to pole było właśnie, a Niemcy tam już urządzili sobie między, przeciwlot-

nicze stanowiska. Było tam parę stanowisk przeciwnicznych, w razie, wie pan, naloty jak były. A i jak już godzina policyjna była, to tu właśnie przy Międzynarodowej stał wartownik i przy Żymirskiego stał wartownik. I nie można było po prawej stronie, bo tam chodniczek był taki, tylko trzeba było na lewą stronę przechodzić, jeszcze wcześniej nawet. A my żeśmy jechali tu, bo tu był chodnik, po tamtej stronie nie było chodnika, a jezdnią już nie można było, bo to tak widoczna była za bardzo. I żeśmy... ten nas zatrzymał i ojciec co on tam chce, zaczął legitymować ojca tego, chciał, żeby pokazać Ausweis czy tam czy kenkartę, czy coś. W każdym razie Papieren. Ale taki był agresywny, pamiętam, rudy skurczybyk w pałatce takiej. Chlebak miał z tyłu, tak z chlebakiem, maska z tyłu, bo tak zawsze chodzili, w takim rynsztunku pełnym. I bagnet tu. I ojciec tam jakąś zaczął... tam strasznie taki był agresywny, pamiętam. I czy ojciec się zdenerwował, wie pan, i jakoś sprytnie to zrobił, wyrwał mu ten bagnet z tej pochwy i dźgnął go. Ten zaczął mordę drzeć, tak przepraszam za wyrażenie, ale tak coś tego, ale wie pan, chlap na ziemię i my prędko... ojciec rzucił ten bagnet tam koło niego i na rower, i chodu. Tak żeśmy zasuwali, mówię panu, i ten przy tym, przy Żymirskiego, ten co stał, ten wartownik, a się roześmiał do nas i: „Ej tam, Kameraden” tam coś tam, wie pan, zaczął. Już tamten nas puścił, to myślał, że my w porządku. A później się dowiedzieli może. No, ale nie mieli tych telefonów wtedy takich, żeby alarm zrobić czy coś. Ale jak by, wie pan, był przy zdrowiu, przy życiu, to by strzelał czy by, nie wiem, jakieś tam mieli sygnały, nie? W każdym razie żeśmy przyjechali zziąjani do domu, matka się wystraszyła, co się [stało]. „Cicho, nic nie pytaj!”. Prędko my się rozpakowali i był spokój. I wie pan, że nie było nawet żadnego odzewu, żeby coś tam. Jak nie raz coś tam, jakaś draka była, to później łapali ludzi i wie pan, rozstrzeliwali tak jak w Wawrze czy coś, prawda. A tutaj cicho było. I tak, wie pan, się żyło jakoś spokojniej. I był później okres, to już przed końcem, tak było już w czterdziestym, chyba, trzecim roku. Tam niczego nie przeoczyłem chyba. Żeśmy jechali, też ojciec ze mną na rowerze i dojeżdżaliśmy, jeszcze wtedy ciuchcia chodziła, pamięta pan? Nie pamięta pan ciuchcią, ale... W każdym razie ciuchcia Grochowską jeździła, przy tramwaju, aż do Otwocka. I, proszę pana, Niemcy zrobili obławę na tych handlarzy, wie pan, bo wywieźli z Karczewa butki, kielbasy, wie pan, na bazar, na Różyckiego. I oni zatrzymali to i wie pan, zabierali, konfiskowali. My żeśmy jechali, już żeśmy byli przy Siennickiej, przy szkole, to tam była kostka asfaltowa, taka bazaltowa była, taki odcinek, bo tam robili tę trak... takiej tej szosy, to tam jeszcze pomnik taki jest, przy szkole, taki na pamięć tego, że tam budowali. I na tym rowerze jechałem z tyłu i ojciec mówi: „O rany – mówi – teraz nie ma gdzie, bo byśmy w Siennicką skręcili”. Ale wie pan, jak by zobaczyli, że ktoś ucieka, to by zaraz, no i nic, jedziemy. I ojciec mówi: „Wiesz, co masz robić?”. Ja mówię: „Wiem”. Wyciągnąłem ojcu i tu za pasek sobie schowałem, wcisnąłem, bluzę obciągnąłem i taki siedzę z tyłu. Podjechaliśmy tam, a ten tam: Papieren gdzie tam, co tam. A ojciec pokazał ten Ausweis tam, to wie pan, no: Gut, tego. To już wie pan, oddał i tego. A ja rower trzymam, tutaj ojciec wziął ten rower, a on tam, nie wiem, tam: kleine Kinder czy coś tam, wie pan, czy to syn czy to tam. Ojciec mówi, ja tego, to wziął mnie, panie, nogą, tak o, i: Weg. Tak nie mocno, ale wie pan, tak żartobliwie. A ja, wie pan, tak uchylłem się, mówię panu i ten pistolet mi się wysunął i ja miałem spodnie, takie pumpy pod kolana, takie zapinane były. Mówię panu, całe szczęście mnie ten pistolet w nogawkę wpadł i ja tak udałem, że niby mnie ta noga boli, bo usztywnił ten pistolet mnie tu i usiadłem na ten rower, na to siedzenie z tyłu, na ten bagażnik, a ojciec mówi: „O rany, ale mieliśmy szczęście”. Panie, jak zaczął zasuwac, tam była... bruk był taki, te poboczne to takie piaszczyste, wie pan, takie ścieżki dla roweru, można było, jechał ojciec, leciał i co i rusz na zegarek patrzył. Dojechaliśmy tam i na Podskarbińskiej był wiadukt, most taki, pod szynami kolejowymi i przejazd był na Targówek. Teraz to jest zasypane, nie ma tam przejścia. I tam na końcu były fabryki, tam WSK czy jakieś tam coś, CWS tam był przecież, tam samochody składali przed wojną przecież, Fiata. I proszę pana, dojechał i zszedł z roweru mówi: „Jedź –

mówi – za wiadukt, za ten, za wiadukt ten tam przy wale, jest droga taka i – mówi – tam stój z rowerem na tej drodze”. A ojciec został i tu pociąg nadjeżdżał. I nie wiem, co było, w każdym razie po chwili, panie, wybuch, wagony z cysterłą w górę, pożar, Niemcy fruwały w po tego, bo mieli wagon taki, co to była ochrona czy wartownicy, to widziałem tylko, o rany, przestraszyłem się i tylko bałem się, czy ojciec żyje, ale patrzę, leci. Przyleciał do mnie, siada na rower i hop, dalej lecimy prędko. „Mów, co się stało? Cicho! Nic nie mów!”. I żeśmy pojechali tam na przy Ziemowita czy coś, tam wujek mieszkał i do niego żeśmy pojechali. No i tam zaczęli... ojciec tam z nim zaczął gadać, co tam tego, on mówi: „Co tam się stało?”. Ja się pytałem, mówię: „Tato, co tam się stało?”. On, dobra, mówi: „Nie pytaj lepiej – mówi – lepiej żebyś nie wiedział”. No i tak na tym zostało. I później nie pytałem o tym i nie wiem, co to. Czy tam było zaminowane i trzeba było, wie pan, włączyć ten detonator czy coś, czy tam z jakiejś innej drużyny ktoś, jak jeden nie przyjdzie, to ubezpieczyli się, że trzeba było dwóch czy iluś tam, wie pan, który mieli to włączyć, nie wiem. Tak w każdym razie wyglądało na to, że ojciec spowodował to. No i cicho sza, i też nic nie było. Nawet nic w gazetach, nic nie tego, nie brali żadnych zakładników, nic. No i później tak uspokoiło się i życie, i w ogóle jakoś. I matka handlowała wtedy na... a ojciec nawiązał z Żydami jakieś te stosunki i często jeździł do getta. Tam jakieś miał, nie wiem, bo to getto było małe i duże i ten taki był na Żelaznej, na tym było... przy Żelaznej taki most taki drewniany i tam przechodzili Żydzi. A tramwaj przejeżdżał przez wielką bramę taką, tego dużego getta. I ojciec potrafił w tramwaju wyskoczyć, wie pan, i tam do getta albo stał żandarm jeden, ale większość to było tych żydowskich policjantów, z pałkami drewnianymi takimi. No i tam jakieś umówione miał tu spotkania czy coś. W każdym razie i przez mur zaczęli przerzucać, tam miał miejsce, że ciuchy, wie pan, różne tam, bo dużo domów było opustoszałych, ludzi nie było. Tam były te, wie pan, i pościele, i tam ubrania, i tego. To te ciuchy wiązali w toboń taki, kartkę pisali, co, ile, tam przerzucali to. Matka, ojciec przywoził to do domu, mama na bazarze sprzedawała te ciuchy. I tam, ile co kosztowało mniej więcej, to co sprzedawała, za te pieniądze to siostry i ja kupowaliśmy, wie pan, opatrunkowe takie te rzeczy i lekarstwa jakieś, jodynę, jakieś żywności trochę, żeby tam można było przemyścić i to ojciec też podwoził, też umówione miejsce było, to ja już tam nie jeździłem. Raz tylko byłem pod gettem, tam na placu Krasieńskich, bo tam ciotka pracowała. Była przychodnia taka zdrowia i tam to jeździłem do ciotki, to jeździłem tam raz w tygodniu albo dwa razy. Bo tam mleko dostawali. To dwa litry mleka dostałem to, ale tramwajem jeździłem. Po to mleko jeździłem tam. Tam dla dzieci dawali, tego. No i przyjeżdżałem do domu, to już wszyscy jak byli, to te ciuchy oglądali, no i matka tam na bazar, to ojciec zawiózł albo dziewczyny tam starsze. No, ale wtedy już ojciec miał w Pustelniku domek taki u takiej pani Banaszkowej, wynajął tam, i tam przebywało trzech facetów, Michał, Alfons, to było dwóch braci, Kosowerowie nazywali się i on był chyba lekarzem i bokserem był, potężnie zbudowany facet taki, Broniek miał na imię. Fajnie żeśmy się tak zaprzyjaźnili. On tak trenował siłownię ze mnie, to mnie brał za pasek tutaj i ręką tak unosił do góry po parę razy. Później drugą ręką i mówi, to jego trening był. No i tam domek, taki letniak był, to my żeśmy tam mieszkali. Matka i nas troje, a jeszcze, i później dopiero to przywiózł ojciec, no tam mieszkaliśmy. Mylę się, choroba. I tam w tym domku oni mieszkali, taki pokój jeden w tym domu, gdzie ta gospodyni mieszkała. I później, po jakimś czasie ojciec przywiózł, to już żeśmy byli wtedy jakoś w domu, bo to jakaś pora taka była, chyba chłodnawo, przywiózł najpierw chłopaka takiego, szesnaście, siedemnaście lat. To był, Rysiek miał na imię, nazwisko... tam gdzieś mam w papierach zapisane. I to był syn, którego rodziców w Górze Kalwarii rozstrzelali. I on widział to. I ojciec, nie wiem, jakim trafem, tam czy był, że widział i go wziął do domu. I on u nas był dłuższy czas. Po jakimś czasie do domu, ojciec... przyszła babka z dzieckiem takim dwa, trzy latka może miała, może nie miała trzech lat, z getta z Łodzi. No i powiedziała, że na jakiś czas zostawić, bo ona tam gdzieś miała metę mieć tego, no i jak pojechała, tak nie wróciła.

I to dziecko u nas było. I ojciec wtedy właśnie, jak wynajął tam w tym Pustelniku, to tę matkę i nas wszystkich tam do tego Pustelnika wziął, wylokował. I myśmy tam mieszkali, a matka w dalszym ciągu handlowała na bazarze, to kolejką jeździła, tam do Stalowej kolejka chodziła ta radzywińska, a ja tam byłem zaopatrzeniowcem. Tam był Pustelnik pierwszy i Pustelnik drugi, takie dwa kilometry od siebie oddalone w stronę Strugi, w stronę Radzimina ciuchcia chodziła. To tam do tego sklepu chodziłem to chleb, masło jakieś, tam kiełbasę czy wędliny trochę, to oni dawali pieniądze i pamiętam takie litrowe, takie były, napój jak coca-cola, Murzynek się nazywał. Taka niebieska kartka była, taki Bambo Murzynek, takie bąbelki. To lubiłem to też. Oni zawsze mnie szklankę i tego. Ale z tym życiem to wie pan. Tu kupiłem chleb jeden, musiałem jechać dalej, tam kupić drugi, bo to interesowali się ludzie zaraz, że tak dużo, bieda była, a ja tak dużo kupuję tej żywności, tego chleba, to kto tam to spożywa, że to wie pan. Tak żeby to nie rzucało podejrzenia, to ja musiałem, wie pan, te kilometry robić. Ale zawsze mnie chwalili, że ja jestem zuch chłopak. Murzynka napiłem się i byłem zadowolony. No i później jak tutaj zaczęło się robić już coraz goręcej, matka handlowała na tym bazarze, to tam znajomy taki, to on przyjaciel był domu, to i ojciec go znał, taki Olek. Zapomniałem jego nazwisko, w Rembertowie mieszkał. On tam miał trzy dziewczyny, też Żydówki, studentki. I po jakimś czasie zaczęło się robić gorąco i tamte dziewczyny jakoś dwie były na mieście, a jedna była w domu. I ktoś wykapaował i ją zgarnęli stamtąd, i nie wiem, rozstrzelali czy co. Te dwie się uchowały. I on stracił mieszkanie, bo nie mógł tam wrócić, bo też na niego by tego. No i on do nas przyszedł, tam do Pustelnika. I wtedy się zrobiło ciasno tak. Ale jeszcze tam komórka taka była tego, no jakoś tam żeśmy się gnieździli, ale się żyło. I później właśnie ten moment nastąpił, jak ten w domu tam, Rysiek ten był tylko i z ojcem mieszkał, i tego dnia, którego mieli przyjechać właśnie ci dwaj bojownicy, bo ojciec miał przywieźć broń, no to wtedy właśnie to było, że ojciec przyjechał, oni wcześniej jakoś przyszli, siostra ugotowała tam jakiegoś krupniku, nie wiem, czy zjedli, czy nie. W każdym razie przyjechał i mówi tak, do tego „Kazika” mówi: „Wiesz co, tak jechałem tramwajem, ale czułem tak, jakby mnie ktoś śledził – mówi – takie przecucie miałem, jakby mnie ktoś śledził”. A ten Symcha Roten, ten „Kazik”, a mówi: „Wiesz co? – mówi – Bo ja tu widziałem, jak szedłem do ciebie – to mówi – tu po drugiej stronie na Waszyngtona spostrzegłem czarnego tego, tego Żyda, który kolabrował z Niemcami z Gestapo. Czy ty – mówi – masz do niego zaufanie?” mówi. A on mówi: „Do tej pory nie miałem z nim kłopotu – mówi – bo tak coś podejrzanie – mówi – on nie przyszedł, tylko, a on kiedyś przychodził, a – mówi – ostatnio nie”. No i właśnie się zaczęło to, że ojciec tam zaczął rozpakowywać to tego, zaczął ktoś pukać, i to bębnić tak do drzwi i tego. Ojciec: „Kto tam?”. Polizei, Polizeil, tam krzyczą tego. A ojciec patrzy przez tego judasza, tam zobaczył, rzeczywiście zobaczył tego draba takiego, w kapeluszu czarnym, w skórze, a tam na dole tak półpiętro, takie jakby było pod schodami, w tej sieni żandarmi z karabinami. „O kurde – mówi – coś niewesoło – mówi”. I do dzieciaków, do siostry i do nich mówi: „Uciekajcie – mówi – bo się robi gorąco – mówi – coś niewesoło – mówi”. Ale ten bębni tak, no to wziął, otworzył i wpuścił go do domu, do mieszkania, w przedpokoju i zaczęli się szamotać. Ojciec go powalił na ziemię, to tamten zaczął drzeć, żeby strzelali tam. Bo siostra pamiętała, że tego, że krzyczeli: Feuer! Feuer! Coś tam. No i patrz, po chwili seria z karabinu i wie pan. Ojciec później zaczął jęczeć i mówi: „Uciekajcie – mówi – przez okno – mówi – bo ja już nie dam rady – mówi – bo jestem ranny”. I siostra usłyszała tylko strzał jeden, to ojciec wtedy dobił się, wziął i oni wyskoczyli, i właśnie ten jeden uciekał, Tadek miał na imię, to uciekał prosto tam na drugą stronę ulicy Waszyngtona, tam były takie... piaszczysta górką, kartofle rosły, parę tam w oddali drzew takich sosnowych dużych, takie miejsce było, nie było zabudowane. A siostra wzięła tego Kazika, bo chciał uciekać w lewo, to go wzięła za rękę i w prawo go pociągnęła, bo w lewo to stał najprawdopodobniej w bramie samochód ten Gestapo. A tutaj za blok od razu przez podwórko takie i na Modrzewiową, i tam do koleżanki,

a on do Grochowskiej uciekł. i na tym się skończyło, ale wtedy ta młodsza siostra była, poszła do czytelnicy wymienić książkę. Matka lubiła książki czytać. No i siostra ta starsza z koleżanką, to mówi: „Słuchaj, trzeba ostrzec Irenę – mówi – bo Irena będzie wracała z czytelnicy do domu, to ją złapią tam i koniec, po niej będzie”. No i ona z tą koleżanką wyskoczyły, na szczęście spotkały ją na drodze, że wie pan, że powiedziały, co tego, no i biegiem, na bazar do matki. No i mówią tam, co się stało tego, matka wystraszona i mówi: „Przecież ten Rysiek tam w domu jest, a on wiedział o tej mecie w Pustelniku – mówi – to z nimi wezmą go, przymuszają, żeby powiedział, gdzie oni tam mają, czy jeszcze kogoś mają”. On tam miał taką kryjówkę fajną, w pokoju było przejście, to było dwa pokoje z kuchnią i w dół się schodziło, była taka... pomieszczenie sklepowe, tylko niewykończony. Dechami zastawione, cała ta wystawa i betonowa podłoga tylko i schodki takie w dół. I między tą... w tej ścianie była taka, ja wiem, może a ile tam, tam on mógł stanąć w każdym razie, bo jakby w razie czego ktoś przyszedł czy coś, to on hyc tam i dywanik wisiał taki, że te drzwiczki były zasłonięte i on tam miał tę swoją skrytkę. Ale on tam siedział, jak to było, ale jak zaczęli strzelać, jak zaczęli latać ci żandarmi po tym pokoju i zaczęli rozbijać tam, szukać tego, to on ze strachu i wylazł albo wyczuł tam go. W każdym razie, że go mieli i po jakimś właśnie, my żeśmy biegiem do matki, jak żeśmy pobiegli, to te siostry jak pobiegły do matki, to przyjechały tam do mnie, bo ja byłem z tą matką tam i z tymi trzema facetami tylko, my w tym pokoiku, ja z tą matką się bawiłem na ogródku tak tego i pilnowałem jej. I oni przylecieli, i dopiero mówią, co się stało. „Wy uciekajcie – mówi – bo Niemcy mogą zaraz przyjechać tu do was”. I my tę matką, co żeśmy mogli, to spakowali, złapali w ręce i chodu stamtąd. A oni, gdzie się ulotnili, też nie wiem, bo wtedy, no musieli w biały dzień, ale musieli gdzieś uciec. I był czas taki, że żeśmy przyjechali do Warszawy wtedy, a jeszcze zanim żeśmy do Warszawy przyjechali, to żeśmy tam się tułali chyba z dwa, dwie trzy noce. Tam w Pustelniku były takie cegielnie, marki Pustelnik były cegielnie. I tam były takie wiaty drewniane, co suszyła się cegła po wypalaniu czy po, nie wiem. W każdym razie tam pod tymi dachami żeśmy byli trochę, jakieś dwie noce chyba. To w życie, ale to nie można przecież, my to jeszcze byśmy sobie dali radę, ale gdzie z dzieckiem takim. Płacze, czy trzeba go tam nakarmić czy co. I nie ma co. Żeśmy przyjechali do Warszawy, i tak siostra poszła gdzieś do jakiejś tej... jasnowidz taka na Elektoralskiej była, tam poszła na pomoc domową. Druga siostra młodsza dzieckiem opiekowała się w jakiejś rodzinie też. A mnie matka wywiozła do Jaktorowa, ojciec miał tam rodzinę jakąś. I tego, i tam byłem jakiś czas. A matka to tak tułała się to tu, to tam. Do siostry nie mogła, bo mogli tam przyjść przecież. Tam zdjęcia czy coś mogli znaleźć. Tak że nie mieliśmy gdzie. Byliśmy w takiej sytuacji jak Żydzi, bez domu i musieliśmy się ukrywać i wystrzegać się Niemców, Gestapo. No i tak to się męczyliśmy, no to nie było wyjścia, trzeba było zrobić coś z tym dzieckiem. To matka z siostrą drugą, tą co mąż jej w wojsku był, poszli do Boduena na Filtrową. Tam był taki przytułek dla dzieci, dla bezdomnych. No i matka oddała to dziecko tam, nie wiem, pod jakim nazwiskiem czy numerem, czy coś. W każdym razie, że nie ma środków do życia, nie może go utrzymać, bo mąż zginął tylko, przyjęli to dziecko. No i żeśmy... po jakimś czasie uspokoiło się trochę i było tak, że spotkaliśmy się w tym Pustelniku znów wszyscy prawie. A w międzyczasie to właśnie tę gospodynię, tę panią Banaszkową, jej córka przyjechała z Niemiec, bo pracowała u Bauera, tam do Niemiec ją wywieźli z łapanki, ale za dobre sprawowanie on dał jej tam urlopu coś. I ona przyjechała do matki tutaj na urlop. I wtedy, jak przyjechali ci Gestapo tam, rozstrzelali tę matkę i tę córkę. Powiedzieli, że tu Żydzi, bo wie pan, tam pod podłogą była wykopana taka piwnica, że podnosiło się klapę taką, bo kiedyś tak było w takich domach, lodówki takie były, prawda. To dywanik i stół na to stawiało się i wie pan, nikt nic nie wiedział, co jest. To oni w razie czego to tam nura i wyjście było do takiego ogrodu zakrzaczanego i w płocie były dwie deski takie po jednym gwoździu, że te deski można było odsunąć, że tak można było przez ten parkan wyjść. No i w ten sposób oni tam z tego domu

uciekli. I gdzie tam się przechowali, to nie wiemy, bo tam nam o tym mówili, gdzie byli, ale to wie pan. Po jakimś czasie właśnie, jak żeśmy tam już spotkali się z powrotem, to dopiero później przyjechał ten właśnie Olek, który te dziewczyny przechowywał tam w tym. Bo on też sobie znalazł tam jakoś miejsce, bo tam za ciasno było, a po tym. I pojechał, tam był sklepik taki dalej gdzieś w tym osiedlu, takie domki jedno... I tam nie wiem, długi jakieś miał, bo brał na kredyt dla nich, później jak sprzedał tam, bo on handlował tam bawełną, jeszcze jakimś tam na bazarze, to pojechał zwrócić tam pieniądze, bo na kredyt brał jakieś rzeczy czy coś, żywność dla nich. No jakiś, nie wiadomo kto to, bo w tym rejonie, właśnie w Pustelniku, tam zaczęły grasować jakieś bandy. I tego, i ktoś go tam z tego sklepu jak on wychodził, szedł za nim facet jakiś i strzelił do niego. Jeszcze on krzyczał tam: „Nie, nie strzelaj!”. Zasłonił się tak kapotą na głowę tego, strzelił, taki bagnisty taki, łączka była i upadł tam, i zginął. To ten sklepikarz tam mówił, że tego. Nie wiadomo, kto to, co to, czy to z niemieckiej tej, czy to z jakiejś bandy, czy to, no nie wiadomo, kto to. Kto to, wie pan. I następny, to on miał opiekować się nami. To ojciec mówił: „Słuchaj, Olek, jak w razie czego mnie zabraknie, zaopiekuj się dziećmi i żoną”. On mówi: „No, na ile będę mógł, to to zrobię”. No i też niewiele tam mógł. No i po tym czasie właśnie, jak żeśmy już nie mieli gdzie mieszkać, to żeśmy tak się tułali i w końcu matka mówi: „Ja już nie mogę. Idę tam”. I ja wtedy mówię: „Mamo, nie chodź. Mamo, nie chodź, bo mówił przecież, ludzie mówili, że tam pilnują”. Bo ja tam chodziłem wcześniej, bo tam miałem dwóch kolegów sąsiadów, mojego mniej więcej wieku. I oni mi opowiadali o tym zajściu, że tam wszystkich ludzi wyprowadzili, tam co mieszkali, pod... murek taki był, oddzielał drugą posesję i myśleli, że ich rozstrzelają. I dopiero zaczęli mówić, Gestapo mówił: „To był Jude!”. A jeszcze sąsiadka mówi: „A skąd! To Polacy – mówi – chodzili do kościoła, że to nie byli Żydzi”. A on na ojca, że ojciec Żyd był. No i w końcu, jak żeśmy... tam matka już nie mogła wytrzymać, powiedziała, że musi iść tam. No i poszła, i na szczęście spotkała po drodze właśnie tego dzielnicowego przodownika policji granatowej i on zobaczył, i mówi: „Pani Lodziu – mówi – bój się pani Boga, gdzie pani idzie? Tutaj – mówi – czekają tylko na was, żeby ktoś przyszedł i was wziąć w Aleję Szucha – i mówi – wykończą was tam”. A matka mówi: „Ale my nie mamy gdzie mieszkać! Dzieciaki w rozpacz – mówi – jeden tu, drugi tam. – mówi – gdzie ja mogę? – mówi – ja już wszędzie się, do rodziny nie mogę – bo mówi – boję się, że mogą przyjechać i im jeszcze narobić kłopotu”. I on mówi: „Niech pani przyjdzie jutro – mówi – pójdziemy – mówi – może coś znajdziemy, jakieś mieszkanie”. No i matka się z nim umówiła, tam za Wiatraczną był komisariat taki, no i tam pod tym komisariatem przyszła i przyjechali na Lubelską właśnie, do domu przy Skaryszewskiej. Tam znowuż był obóz przejściowy z łapanek, do Niemiec albo do obozów wywozili. Ta szkoła Jasińskiego tam, do której chodziłem później. Ale to tak pod latarnią jest najciemniej, jak to mówią, że tam może najbezpieczniej było. No i wynajął to mieszkanie, dał jej parę złotych, tej gospodyni. To na piątym piętrze pokój z kuchenką, dwanaście metrów raptem, bez łazienki, bez ubikacji. Woda tylko była, dochodziła. No i takie coś skombinowałem, znalazłem tam gdzieś takie rusztowanie, konstrukcję takiego piecyka z kątowników. Żeśmy z matką wzięli, te kafkami to wymurowali żeśmy, taką zrobili kożę z gliny tego, no i tych kafli. I to się ogrzewało, bo już zima szła przecież i żeśmy tam zamieszkali w tym. No i wtedy, i siostra jedna, i druga już wróciły, i żeśmy razem mieszkali. Ale ciężko było, bo nie było czym palić. Nie było wiele do jedzenia. Ja zacząłem tak tam chłopaków, bo tam tak na Lubelskiej to taki był poluz, to taki dom, zbieraniny takiej, takiej, wie pan, takich, no już nie wiem, różne takie. Banda taka była, to przechodzili przez podwórko, to przywódczynią była „Koza”, nazywali ją. Pseudonim miała dziewczyna. Co było na podwórku, to czystkę zrobili. Czy wózek, czy ubrania wisały, pranie ktoś powiesił na sznurku. Wszystko ginęło. Jak tajfun przeszedł. Ale ja tam z chłopakami takimi co chodzili i kradli tam Niemcom, wie pan, różne tam skakali raz. Samochód jechał, pamiętam, taki fajny kolega, taki z siostrą moją, taki rówieśnik, zawsze przyjaźnili się, ale złodzie-

jaszek. Ładny, przystojny chłopak, Beluś się nazywał i on, samochód jechał z tym, z kocami, z przyczepą. I siedział Niemiec na tym, w samochodzie, a przyczepa wolna. A tutaj, jak Skaryszewska i tu jak teatr, to był taki plac duży, wielki. Nie było tam tak jak teraz, tylko plac taki, tramwaj chodził z Zielenieckiej po jezdni tak środkiem i skręcał tu w Targową, i to wszystko było brukowane. I ta ciuchcia przechodziła i Teatr ten Powszechny to było kino Popularne, i ekspedycja taka stała, no to tam, zawsze zwalniał każdy samochód, czy coś. I oni wskakiwali na tę przyczepę i te koce siach, siach pozrzucali. A ten Niemiec tam nakryty, to nie widział nawet co, bo patrzył do przodu. No i drudzy, wie pan, brali i zbierali to. No i ja się z nimi zadałem, i tu na węgiel zaczęliśmy chodzić. Poszliśmy tam Lubelską, takie było wyjście na tory, taka brama duża. Z workiem to starsze chłopaki na wagony weszli i bryły węgla zrzucali na ziemię, a my worki i do tego. A to na końcu to w brankardzie Niemiec był, ten, jak oni się nazywali, Bahnschutze, taka kolejowa straż niemiecka. W czarnych mundurach. Zobaczył, że tego, jak strzelił z tego karabinu po tych wagonach, tylko gwizd przeleciał. A te chłopaki w wagon się schowali, a my na dole, to uciekać trzeba. A on wylazł stamtąd, a ja worek na plecy i ciągam. Ledwo go mogłem udźwignąć, bo tam, wie pan, jak człowiek łapał, to jak najwięcej, żeby tego. Nie zastanawiał się, czy da radę udźwignąć to. I zaczął strzelać właśnie po wagonach, ale już z ziemi. To ja widzę, że nie mam wyjścia, to rzuciłem ten węgiel, ten worek i pod wagonem im uciekłem na ten. I żeśmy tam na Skaryszewskiej stanęli i mówimy: „No co, no przecież nie darujemy, w workach zostawić to”. Znów chłopaki tam podchodzą, patrzą, że on tam wlał do tego brankardu, to my po cichu te worki ciągnęliśmy i do domu. Dałem radę. Tamci w swoją stronę, przydygowałem na górę. Otwieramy, a w bryle węgla pocisk. Mówię: „Mój Boże kochany. Człowiek...”. Ten węgiel uratował mi życie, bo przecież jak bym nie rzucił tego worka wcześniej, tylko, jak on strzelał, bez worka był, no to by trafił mnie. No, ale jakoś opatrność była. No i mówię panu, że tak mówią, chłopak dziesięć lat niecałe miałem, bo to przecież, no to wziąć teraz w moim wieku chłopaka, a ja, to ja byłem głową rodziny. Przecież ojca nie miałem, to musiałem wszystko... czynności robić, to co ojciec robił prawie. Ale no trzeba było, bo trzeba było żyć jakoś. Tak żeśmy dochowali się do... to okupacja cała i później pod koniec tego czterdziestego trzeciego roku to już na wiosnę przyszedł do nas tam na Lubelską facet, to tego. To ojciec, to tam mam nazwiska popisane gdzieś, to on właśnie organizował papiery lewe. To ten właśnie przyprowadził faceta, on na kolei pracował i mówi, że przyprowadzi tu, czy chce pani jeszcze tego, mówi. A matka mówi: „No tak”, mówi. „Bo ja i nie mam z czego żyć – mówi – a po drugie – mówi – no co tu robić? Przecież nie mam czym handlować, nie mam...”. No i on mówi: „To ja pani dam. Tu przyjdzie małżeństwo z dzieckiem – mówi – on bardzo facet przystojny i nie wygląda na Żyda”. Przyszli do nas i mówi, że tego, że chętnie by, mówi, razem z nami zamieszkali, że... bo on będzie płacił na życie, na tego, a matka zgodziła się, no bo oczywiście, mówi. I wynajął to w Wesołej przy stacji zaraz, tam górka taka była. Na górce taki był jak zamek domek. Ładny taki, ale opustoszały. Ta właścicielka była... w Warszawie miała jakiś sklep, a tam mieszkała taka pani Ola, która się opiekowała tym domem. No i my tam żeśmy pojechali. Wynajęliśmy to i tam żeśmy mieszkali. No i to płynął czas dosyć fajnie. Ale wojsko zbliżało się już do natarcia takiego. Tam później po jakimś czasie niemieckie oddziały do nas przyszli, wygonili nas z tego domu. I tam był taki domek mały, na kurzej łapce myśmy go nazywali, taki z werandką, drewniany. I nas do tego domku. A tutaj sztab był niemiecki. I tam mapy tego. I na tej górce bunkry takie dwa wykopali, zrobili i tego. Bo czuli, że to już koniec ich zwycięstwa. Ale długi czas żeśmy tam mieszkali, to słysząc tego jak te szyby ruskie, jak te katusze, organki Stalina mówili na to, lwany tu strielajut – strzelają, Niemcy. No i tak, i się zaprzyjaźniliśmy z jednym takim Niemcem, to właściwie był Polak, poznaniak. I rodzinę zostawił, i też się żalił, mówił, że nie wie, czy wróci. Zdjęcia pokazywał, miał dwie córki i tego, i przychodził. I mnie polubił, ale taki zniemczony był tak. Ale po polsku mówił, trochę kalecząc. Jarek,

Jarek na mnie i mnie przynosił to czekoladę, to suchary, to w takich pudełkach bakelitowych serki takie dostawali. I te ich sucharki takie małe, fajne były też. A to cukru przyniósł, a to coś. I matka tam robiła ten obiad, tam obiad. Placki ziemniaczane takie i on popróbował i och, jak te placki mu smakowały. Placki, kartofle, placki, kartofle. To przychodził, tylko pytał się, kiedy będą placki, kartofle. No i wie pan, tak żeśmy tam z nim jakoś, zawsze nam pomagał, co mógł. Taki przyzwoity facet był. Ale później zaczęło się robić coraz goręcej. Ruskie zaczęły, już pod Miłosną podjechali, no to już ataki były gorsze. To nas wyrzucili stąd i wszystkich już wyrzucali do Rembertowa, a z Warszawy to już ewakuacja była ludności do Pruszkowa wtedy. A my byliśmy tu na Pradze, to z Pragi nie brali tak do Pruszkowa, mi się zdaje. I wszystkich tu do tego, wygonić do tego. Po tych wszystkich, bo tam takie wille, tylko domki, posesje pogrodzone. No i my nie mamy co, żeśmy przeszli na drugą stronę cichaczem na okrągło i żeśmy poszli w taką posesję zarośniętą, dobrze była, domek był taki. I tam był częściowo taki wykopany ten, to my żeśmy wykopali taki pod kątem taki bunkier. Wykop taki. Żeśmy zerwali podłogę z tego, z tej willi, na to żeśmy przykryli, na to żeśmy ziemi, gałęzi, mchu żeśmy przyłożyli, żeby nie było tak widać bardzo. No i gęsto było do płotu, do tej drogi, bo to nie była ulica, tylko piaszczyste takie drogi i uliczki takie były między tymi posesjami. I tam żeśmy żyli, nie pamiętam, ile, parę dni ładnych. Mieliśmy taką torbę, taką papierową dużą sucharów. Suchary się skończyły, a tam nas było troje tych, to małżeństwo żydowskie z dzieckiem, nas było troje, czworo, ta Ola piąta, to tam i jeszcze jakieś dwie osoby były. To ponad dziesięć osób było w tym okopie. No, ale my tam na dole mieliśmy kartofle, buraki były w tym domu, w piwnicy, mówi, żeby to wziąć, to byśmy mieli co zjeść, by się jakoś to ugotowało. I żeśmy się wybrali w trójkę, ta Ola właśnie, która się opiekowała tym domem, matka i ja, jakiś tam worek żeśmy wzięli. No i żeśmy przeszli jakoś bez żadnego trudu, bo to duży plac był, posesja ta od tego domku właśnie, tego pałacyku, duża. I my żeśmy przeszli tak między tymi choinkami tego, żeśmy doszli do tego domu i trzeba było wejść tam po schodach i później na dół. I żeśmy tam nabrali, patrzę są, ziemniaki, kapusta, buraki. Żeśmy tego nabrali, ile się dało i wychodzimy. Jak żeśmy wychodzili, to nas zobaczyli, bo stali przy tym stole bilardowym szkopy, oficerowie nad mapami jakimiś pochyleni. Tam zobaczył jeden. O rety, jak zaczął mordę drzeć. Jak też rudy taki skubaniec i zawołał tego wartownika, i mówi, żeby nas wyprowadził i rozstrzelał nas. Tam do lasu i rozstrzelać tam. Taka górka była i młode takie sosenki rosły, i rozstrzelać. Bo ta Ola znała niemiecki język i wszystko rozumiała. No i przyprowadził wartownika, i on nas prowadzi, i mówi po polsku: „Kazał was rozstrzelać”, mówi. My patrzymy, a on pałatkę miał, bo to tak padało trochę. A to okazało się, że to ten Rajmund był. O Boże, jaka... on mówi: „Nie bójcie się, ja was nie zastrzelę przecież, ale muszę was stąd wyprowadzić, bo przecież oni mnie rozstrzelają”. I wyprowadził nas na górkę do tego zagajnika i karabin, serię puścił z karabinu. A my popadaliśmy na twarz, piachu pełno ze strachu, ale każdy patrzy, mama: „Cały jesteś?”. „No cały”. „Pani też?”. „Też”. Nikt nie trafił. Mówi: „Uciekajcie i nie wracajcie tu”. I my żeśmy okrążyli tam dwie posesje dalej, ale tam znowu stał szwab i budka była. I tam był ten wartownik znowuż. A jak żeśmy wyszli z tego zagajnika, a tam strzały to były co jakiś czas. Tam nie zwrócił uwagi. My żeśmy szli, to on zobaczył nas, to podobna sytuacja jak na Waszyngtona tam było. Jak zobaczył, że nas tu wyprowadził Niemiec, no to i on się odkręcił, nic nie mówił, uśmiechnął się tam coś tego i my żeśmy poszli. Żeśmy szli, to żeśmy prędko patrzyli, żeby nie, ja do tyłu patrzyłem cały czas, czy on patrzy się, czy nie. Jak on tylko wszedł za płot tam, to my teraz siup i przez płot żeśmy, przez te dziury tam żeśmy przeszli. Żeby on nie widział, gdzie my żeśmy skręcili. No i jak już się udało, że żeśmy wrócili z powrotem, ale bez niczego. Wszystko tam... ten rudy to kazał nam wywalić wszystko, co mieliśmy z worka i już jedzenia nie było. No i żeśmy tam prawie do samego tego wyzwolenia byli. Jak już słyszeliśmy, że czołg podjeżdżał, oddał dwa strzały, bo tamta ulica taka piaszczysta tylko była i tak pod górkę szła. I tam było, przekopany był ten okop taki i ka-

rabin maszynowy, tam ustawione było stanowisko. I kto się tam pokazał, to zaraz tam posiali ogniem i tego. No i tak do tego czołgu trochę tam postrzelali Niemcy, a ten walnął tam z armaty, tego to nie wiem, czy to rozwalił to stanowisko już, czy nie i wycofał się, pojechał. I znów dwa, trzy dni cisza. A tutaj patrzeć, już oni zaczęli uciekać stąd, likwidowali już wszystkie te swoje tam stanowiska i wyjechali. I my żeśmy zostali, i nie wiemy, czy to już wolne jest, czy nie. Bo strzelaninę słyhać co jakiś czas. Ale później patrzeć, znów się zebrała jakaś grupa Niemców i taki kipsz zrobili, każdy dom przesiali i nas znaleźli. Zaczęli drzeć się, jak nie wiem. I nas do Rembertowa. I musieliśmy do Rembertowa uciekać stamtąd. I w Rembertowie żeśmy się zatrzymali w domku takim, a tam już domki były jeden przy drugim, to już tu po tej stronie, po lewej stronie do Warszawy jadąc, nie było, tylko było w Rembertowie, na poligonie Niemcy jeszcze byli. I na torach mieli też karabiny maszynowe i tam było takie przejście. Od tych zabudowań Rembertowa do lasu. To była jakaś sto metrów taka polana i tam cmentarz był dalej trochę. I my żeśmy... jak Niemcy zaczęli uciekać tam, to my z powrotem chcieliśmy do Wesolej wrócić. To skubańczy zaraz walili, strzelali. No i tego naszego tego Tadka, Zawadzki on na imię miał, to małżeństwo co było, w nogę dostał. Utykał tego, ale jakoś tam wróci... Jak żeśmy wracali, nie strzelali, jak w tamtą stronę, to nie dali przejść. Wróciliśmy się i mówią: „Trzeba poczekać aż do wieczora, jak będzie ciemno”. No i tam lekarza żeśmy tam znaleźli, opatrunek mu zrobił, wyjął mu tę kulę i jakoś tam utykał, ale żeśmy szli. No i to ja nie wiem, ile, parę dni było, no i wybuchło Powstanie. Na Powstaniu chłopaki tam z Warszawy ludzi wywieźli, tu Niemcy uciekali, tak jak z poligonu, to nawet nie zdążyli się poubierać. Jak ludzie mówili, w kalesonach wyskakiwali, bo tak, bo były te budynki takie koszarowe, to mówią, w kalesonach wyskakiwali i kapoty mieli pod pachą, w biegu się ubierali, tak pogonili ich. No i wie pan. Tu my widzimy, że tu już cisza, spokój, nie ma, to chcieliśmy z powrotem. Ale Powstanie jak się zaczęło, to chłopaki tam młode tego, na Powstanie chcieli, szli, zbierali się. No i siostra jedna i druga, że one też idą. Matka zaczęła płakać, zaczęła błagać, mówić: „Nie dosyć, że ojca straciliśmy, to jeszcze wy chcecie życie stracić? Nie chodźcie – mówią. Nic tam nie zrobicie”. No i jakoś uprosiła ich i zostały. A te chłopaki poszli tam, młode chłopaki takie po osiemnaście, po siedemnaście lat, po dwadzieścia. Na Warszawę, na Powstanie poszli. I my żeśmy tam byli, jak już to wiedzieliśmy, że już Niemców nie ma, że już wyjechali stamtąd z Rembertowa, no to żeśmy wrócili się z powrotem do Wesolej. Ale nie doszliśmy jeszcze tam do naszego domu i żeśmy zatrzymali się, Groszówka chyba, taka osada się nazywała. I też dom taki ładny, duży. Bo tam w ogóle wille to takich były bogatych ludzi. No i żeśmy tam też trochę, parę dni tam przenocowali, no i Ruskie przyjechały. A to swołocz, panie, co oni tam wyrabiali. I żeśmy bunkier taki ponemiecki był, to była willa taka duża i taki dołek jakiś był, nie wiem. I tam w tym dołku bunkier był z takich nowych, grubych takich tych desek. Dywanami ściany wytego. Prycze takie wokół zrobione. Tak na osiem osób czy ileś. My żeśmy tam siedzieli w tym, no to żeśmy dziewczyny to od ściany i ja leżałem tak, że ją zasłoniłem i drugą matka. To przyszli: „Diewuszki, gdzie wasze diewuszki?”. Tam tego zaczęli. Mówię panu, babkę pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat to nie wybierali. Gwałcili skurczybyki. Pijane to chodziło. Mówię panu, co my żeśmy z nimi mieli. Dobrze, że później oficer taki przyszedł, to zrobił czystkę, to się bali. Obok tam stanowisko miał koło nas, to jak jego zobaczyli, to już uciekali. Mówię panu, pijany, fortepian był, to na fortepianie nogami zasuwał, grał nogami. Wie pan, no orgie nie z tej ziemi. No i później jakoś tego żeśmy przedostali się do Wesolej, do tego naszego domu. Ale znów nam Ruskie wpakowali tę od torów, to pokój wielki był, no to tam Ruskie też, fortepian był, spali na tym fortepianie. A tu, gdzie my byliśmy z tej strony od ogrodu tego, to nam dali takiego starszego lejtnanta, jak on się nazywał? Fajny taki. Inżynier, artylerzysta. I z frontu wrócił, bo ogłuchł, bo wybuch był przy nim tam. No i wrócili go z frontu na rekonwalescencję taką. No i on obok naszego mieszkania takie było pomieszczenie i on tam spał. To mieliśmy już zabezpieczony spokój. Przyleciał taki

Ruski, to przyniósł tam, miał, nie wiem, kawałek sała, cukier i coś, i on matkę chciał, że on chciał matkę zgwałcić, matkę za to. No kurde, matka popędziła, a on mówi: „Chodź” woła go. „Chodź, chodź – mówi – to zaraz dostaniesz tutaj” i ten lejtnant zobaczył: A ty szto tu da? A on zaczął się trząść, zostawił to i chodu uciekł. Mówię panu, to tych to się bali tak, że nie wiem. Ale jak oni opowiadali, że na pierwszej linii frontu to byli sami, większość skazańców była z Sybiru. Dostał wódkę i idź. Jak przeżyjesz, to będziesz żył, będziesz wolny. A jak nie przeżyjesz, a jak się wycofasz, to my cię zabijemy i oni, wie pan, tak szli. No i jakoś szczęśliwie było, że się jakoś tam przeżyło. I później dopiero już zaczęli napływać, i później polskie wojsko przyjechało też. To przyjechali tym kanarki, ta żandarmeria polska, wywiad zrobili, czy ktoś kolaborował z Niemcami, czy coś, czy tego. No i zobaczyli, że tu my mamy, że Żydzi są, Jude tego, ale oni się tam jakoś porozumieli fajnie. No i później tam nie mieliśmy już kłopotu. I później, po dłuższym czasie stamtąd, a jeszcze jak byliśmy tam cały czas, to znowuż tam też nie było czym palić. Jak już, jak Niemcy byli, zanim jeszcze się osadzili tam u nas na tym, to znowuż jeździli fury wzdłuż torów i chłopaki starsze skakali w Rembertowie na wagony właśnie z węglem i wyrzucali cały czas węgiel, bryły duże. A furami jechali przy torach i ładowali ten węgiel, wie pan. A ja jak zobaczyłem, że tego, to bryły się rozwalaty, to ja z workiem i ciach tam zbierałem te drobniejsze tego. I takie u nas były stanowiska pokopane jednoosobowe takie. I w te stanowiska. Jedno, później drugie, trzy takie stanowiska miałem zapełnione węglem. Gałęzie rzuciłem na to, piachu, trochę, mchu i wie pan, i mieliśmy kopalnię swoją. Mieliśmy zapas czym palić. To pan wie na tyle, że te Ruskie tak durne byli, jak zaczął kopać zobaczyć, że ja to wykopię to mówi: Ugiel? A ja mówię: „Tak, tu kopalnia jest”. To on uwierzył, że tu jest węgiel pod ziemią, wie pan. No, ale jakoś, wie pan. Później daliśmy sobie, już przynajmniej mieliśmy czym opalać to mieszkanie. No i później, jak już się uspokoiło, jak już to wszystko przewaliło się, to wróciliśmy do Warszawy z powrotem i na to mieszkanko. I zaczęło się życie już takie. No to ci bracia dwaj, bracia ci Kosowerowie i siostra ich była też. To ona też tam odwiedziła ich, tylko my żeśmy ją skierowali na Targową przy Ząbkowskiej, tam znajoma była. Ona była, niemieckie nazwisko miała, Bauman chyba. I ona folksdojczką była. Tam przy Targowej, przy Ząbkowskiej był sklep Meinla. To taki był dla folksdojczów, że takie jak u nas były te, wie pan, za żółtą firanką takie te sklepy, takie dla dyplomatów czy coś. To ona tam kupowała to i czekoladę, i cukierki, i tam kawa czy coś. I przynosiła nam. No to mieliśmy fajnie z nią. I tam u niej właśnie ta siostra tych braci u niej była, to ona miała pełną metę taką. Pewną, że mogła tam, wie pan, przeżyć normalnie i tego. No i po wojnie później się żeśmy spotkali, ci bracia mieszkali na Małej, przy Inżynierskiej, to chodziłem, to zawsze parę złotych dali, to buty mi jakieś dał tam. A ci Zawadzcy to mieszkali na Zygmuntowskiej tutaj, na Most Kierbedzia był kiedyś. To naprzeciwko misiów, tam taki dom, stoi jeszcze teraz. To ładne mieszkanie, to zawsze nas zapraszali na sobotę, niedzielę, to ona tam takie danie te żydowskie, taką jakąś gęsią szyję, coś takiego i zawsze byli... bardzo byli, potrafili się odwdziżyć. No i wie pan, po jakimś czasie już my zaczęliśmy żyć swoim życiem. Oni wyjechali do Niemiec i później się okazało, że tego Tadka Ruskie u Niemców w Berlinie czy gdzieś tam, wywieźli na Sybir. Bo on taki był cwaniak. Taki handlował, wie pan, głowę taką handlową miał. Jak wszyscy zresztą. I wie pan, wywieźli go na Sybir. I co się stało z nimi i świata? Nie mieliśmy żadnego kontaktu z nimi. I później po, jak żeśmy tam wrócili, na tę Lubelską z powrotem mieszkać, to zjawiła się matka tej małej dziewczynki. My żeśmy ją nazwali Marysia. I jak ona nas znalazła, przecież adresu nie było, tamten adres nieznany był. Musiała dobrze się nagłować, żeby znaleźć nas, prawda. Nazwisko to znała pewnie tego. No i się okazało, że przyszła i awantura, gdzie dziecko jej jest. A matka mówi, że oddaliśmy do sierocińca, bo mówi: „Jak pani mogła? Dziecko oddać do sierocińca? Co pani tego!”. Dopiero matka zaczęła: „Ja, niech pani zrozumie, jaką my sytuację mieliśmy...” i zaczęła opowiadać naszą sytuację, „Co my mieliśmy, że my mieliśmy podobne życie, mieliśmy jak i wy, musieliśmy się ukrywać przed

Niemcami, bo nas poszukiwali. I nie mieliśmy gdzie mieszkać, nie mieliśmy co jeść i mówię, a pani jeszcze pretensje ma?”. Ale ono przeżyło na pewno, bo te dzieci w czasie Powstania wywiezione były do Rabki wszystkie. Cały ten ośrodek był do Rabki. Ja już później nie wiem, czy ona odebrała, matka z nią poszła tam pod jakim nazwiskiem czy pod numerem. W każdym razie nie interesowałem się tym. Nie wiedziałem, co tam się stało. Co była, czy znalazła, czy nie. W każdym razie ani pocałuj mnie w d... ani podziękowania żadnego, że dziecko się uchowało. Czy odebrała, czy nie, tego nie wiem. W każdym bądź razie ja po paru latach, ale to już teraz... tam jakieś dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat temu może. Pojechałem tam i pytałem, zobaczyć tam. Kierowniczką mi dała listę tego... ale ja nie wiedziałem, pod jakim nazwiskiem ona była tam przyjęta. Tylko mówię, mam tylko mniej więcej po adresie, po dacie, bo to mówię, nie mogło być dłużej jak tydzień po śmierci ojca, bo dłużej my z nią nie byliśmy, bo nie mieliśmy możliwości z nią przebywać gdzieś na otwartym terenie, prawda. No i to powiedziałem czerwiec. Ojciec zginął 24 czerwca, to gdzieś było, czerwiec, szósty, siódmy, ósmy, dziewiąty, no do końca czerwca, mówię. To w tym czasie, mówię. Imię miała nadane przez nas Marysia. Szukaliśmy, ale ona to jeszcze nie ma, mówi: „Dużo papierów, to powódź była tutaj, to została zniszczona – mówi – ale wszystkie dzieci przeżyły w Rabce. Nikt nie umarł ani na żadną chorobę, ani z innych powodów”. Tak że no prawdopodobnie, że odzyskała to dziecko i wie pan. O i tak się zakończyła ta przygoda z Żydami, z dziećmi. Ten Rysiek to na pewno został rozstrzelany przez Niemców, bo nie wierzę, żeby tego. W każdym bądź razie chciałem się... i nie wiem, że to ten „Kazik” przedstawił w Yad Vashem tam ojca, bo matki to też nie znał bardzo, bo przecież jak przewidywali, to tam we dwóch tylko, tam matki nie było, mnie też nie znał, nie widział mnie nigdy. To tylko tę siostrę Basię co wtedy była, to ją znał, ale też nie przedstawił jej. A ona przecież, a później ja spotkałem... przyjechał z jakimś fotoreporterem amerykańskim do Warszawy i chciał nas odnaleźć. I był tam na Waszyngtona, poznał ten domek. Pytał się ludzi, ale tam już nikt nie mieszkał z tych, co to wtedy mieszkali. Nikt nie wiedział o sytuacji, co tam się wydarzyło. No i tak, później znów drugi raz przyjechał do Warszawy, a przedtem napisał list. I trafił jakoś, też nie wiem, w jaki sposób, do mnie, że chciałby się spotkać, chciałby, żebym, albo żebym opisał mu, jakie rodzeństwo miałem, gdzie żeśmy przebywali, co żeśmy robili, co tego. Ja mu opisałem to tego. Później przyjechał i żeśmy się spotkali, chyba nie wiem, czy w muzeum, czy gdzieś indziej. I ja mówię, on mówi, że przedstawił do odznaczenia czy coś mówi, a ja mówię: „To nie dostanę orderu? – mówię – A siostra?”. Ja to byłem za mały, że ja miałem, o, bo to od dziesięciu lat dawali. A ja miałem dziewięć lat tam i parę miesięcy. Ja mówię, ale mówiłem mu, bo to już pisałem, bo właściwie, bo on już opiekunkę taką ma, bo on to już ma dziewięćdziesiąt chyba. To on mówi: „To ja robiłem to, co ojciec kazał. Co rodzice mi kazali”. A ja mówię, a jak jeszcze było półtora roku, mówię, okupacji, Niemcy byli, my żeśmy w dalszym ciągu utrzymywali ich, mówię i mi nikt nie kazał wtedy. Ojciec mi nie kazał, tylko samoistnie żeśmy utrzymywali z nimi kontakty, mówi. To, dlaczego, mówi ja to już miałem ponad dziesięć lat. Już jedenasty rok miałem. No i jakoś tam nie tego. I nie przedstawił mnie, i wie pan, i tak. Ojca straciłem, nic za to nie dostałem, żadnego odznaczenia, bo to już nie chodzi o to odznaczenie, bo o ten medal. Ale fundacja amerykańska, jakiś tam, wie pan, bogaty Żyd to tych chce w ten sposób jakoś wdzięczności za to, że przechowywali, narażali się. To jakoś płacą takie, nie wiem, sto dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie czy coś tam za utrzymywanie. No to dla mnie to by był dobry zastrzyk taki, prawda? No, ale za młody byłem i tak o, zostałem na niczym. Bez dachu, bez domu, bez ojca i o, dostałem medal pośmiertny. I co im ten medal da?